

WYCIECZKOWCE W POLSCE W 2011 I 2012 ROKU

www.naszemorze.com.pl
Informacje • Wywiady • Reportaże • Analizy

nasze

MORZE

maritime magazine

Cena 10,50 zł
(w tym 5% VAT)

Nr 12 (72) grudzień 2011
NR INDEKSU 211214

Dobowa dawka energii

Aleksander Doba - pierwszy
człowiek, który samotnie
przeplłynął Atlantyk kajakiem
między kontynentami.

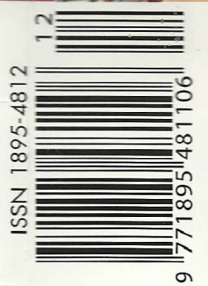


Bez wyraźnej wizji



Kapitan spod
szczęśliwej gwiazdy

PORAŻKA NA ŻYCZENIE





Wyprawa do powtórki

Ren mi niestraszy

Polak potrafi!

3,5 tysiąca kilometrów rzekami i kanałami Europy przepłynął hausbot Żegluga Wiślanej, aby promować piękno polskich szlaków żeglugowych. Ekspedycja, która trwała półtora miesiąca (11 września – 15 listopada) zakończyła się sukcesem. O rejsie, który odbywał się pod naszym patronatem, było głośno nie tylko w Polsce, ale także w Niemczech, Belgii czy Holandii. Łukasz Krajewski, właściciel Żegluga Wiślanej, już zapowiada, że wyprawa zostanie powtórzona w przyszłym roku, tym razem na innej, jeszcze dłuższej trasie, najprawdopodobniej z Gdańska aż do Francji. O ekspedycji pisaliśmy dwukrotnie – w lipcowym i październikowym numerze „Naszego MORZA”. Poniżej publikujemy relację jednego z jej uczestników.



Holandia - miejska przystań w Roermond.

Na Mozie, przeprawę przez Ardeny nazwaliśmy przełomem Dunacja.

nieśie ją na środek prosto „pod koła” barku, a tu woda zimna, do domu daleko...

Ale co tam, raz się żyje. Podjąłem reżym i zgłosiłem udział czteroosobowej załogi. Nie musiałem namawiać Zosi, mojej żony, dzielnie mi partnerującej w wielu wyprawach barkowych, z pozostałymi jednak członkami załogi były pewne trudności... Wreszcie znalazłem dwóch dzielnych marynarzy i byliśmy gotowi. Wyruszyć na szlak mieli: Zosia Zubczewska, Michał Dembiński, Stefan Zubczewski i Andrzej Jachimiak.

Krótką naradą, zakupy i w drogę. 1200 km samochodem, aby złuzować Łukasza w Liege (Belgia). Po drodze telefon, że Łukasz się do Liege „nie wyrobi”, zatem spotkamy się w Namur. Trasa troszkę się nam wydłużyła... Wreszcie zaokrętowanie i nocowanie przy miejskim nabrzeżu. Rano odwozimy Łukasza na lotnisko. Na wodę wychodzimy po południu. Krótki odcinek rzeki Mozy i zrobiło się ciemno. Nodęgu szukaliśmy po omacku. Zaczumowaliśmy do napotkanego krzaka w jakiejś ponurej zatoczce. Rano okazało się, że nie wolno tam było wpływać łodzią motorową – rezerwat. Szybko, na małych, cichutkich obrotach, uciekliśmy z miejsca przestępstwa...

Klucz pod doniczką

Następny dzień to marina w Liege, w centrum miasta. Jest woda, prąd, a w kapitanacie nikogo. Nocowaliśmy za darmo. Kolejny nocleg w Maastricht, w komfortowej marinie, a w kapitanacie... Byłby kłopot z wyjściem do miasta, bo miejsce ogrodzone i furtka zamknięta, ale



Jesteśmy w Liege.

w sąsiednim Yacht Clubie mała balanga i tam otrzymaliśmy od podpitego członka klubu uniwersalny klucz do wszystkiego – do łazienki, pryszniców, furtki do miasta. Poprosił, aby rano, przed wyjściem na wodę klucz zostawić pod doniczką z pelargonią. Czyż nie urocze?

Przez kilka dni przyjemnie, raz Holandia, raz Belgia, czasem Niemcy, nigdy nie wiedzieliśmy, w jakim jesteśmy państwie. Przeprawa Mozą przez Ardeny przypominała przełom Dunajca. Przyjemnie pływać po Unii. To, że znaleźliśmy się w innych granicach sygnalizowały tylko nasze komórki, informując o telefonach konsulatów...

Żeby jeszcze relacja naszych zarobków do cen unijnych była lepsza... Na szczęście jedzenie mamy z RP, jakoś przebiedujemy.

Codziennie rano ruszając w drogę włączaliśmy nadajnik GPS, dzięki któremu można było śledzić na bieżąco, gdzie się aktualnie znajdujemy. Wystarczyło wejść na www.zeglugawislana.pl i tam w „googlową” mapę.

Po kilku dniach REN. Od razu na wstępie zimny prysznic. Było już po południu i bardzo wiało. Trafiliśmy na jakiś upiorny ruch barek na rzece i silny, nawet bardzo silny prąd. Po trzech kilometrach pokonanych w ponad godzinę, zawinęliśmy szczęśliwie do mariny w Nijmegen. Opłata w „parkometrze” (11,5 euro), podłączenie do prądu i wody bieżącej.

- Jest dobrze - mówi Michał, nasz drugi oficer (bo pierwszy, to moja żona, kapitanowa Zosia).

Idziemy na miasto, na pizzę. Jest dobrze. Przecież popłynęliśmy do przodu,



Miejscowość Huy, tu zrobiliśmy zakupy.



Namur – miejsce naszego zaokrętowania.

mimo wiatru w twarz, przeciwnego nurtu i fal wzburzonych przez śruby gigantycznych barek. Całą noc słyszemy warkot ich potężnych silników, bo one nocą też pływają. Raniutko, zaraz po porannej kawie w drogę, w górę Renu. Normalnie pływaliśmy na 2000 obrotach naszego niezbyt mocnego diesla. Tym razem podkręcamy - 2800. Na łódce robi się głośno. Po kilku godzinach staje się to męczące. Posuwamy się ok. 6 km na godzinę, a miejscami 2-3 km. To niezły wynik. Barka dzielnie wspina się na wysokie fale i dobrze słucha steru. Po kolejnym noclegu pokonaliśmy drugi odcinek do Wesel, gdzie schodzimy z Renu. Dwa dni, 72 km pod prąd. Wypaliliśmy sporo ropy, ale nasza *Dominika* spisała się świetnie.

Naprzeciw lotniskowcom

To czego dowiedziałem się o żegludze po Renie, niezupełnie pokrywało się z przeczytanymi wcześniej informacjami. Było lepiej niż się spodziewałem. Najgor-



Stacja benzynowa, supermarket dla barek.



Transport samochodów Renem.

Raniutko, zaraz po porannej kawie w drogę, w górę Renu.

sze dla naszej łódki były zestawy barek pchane przez „pchacze”. Składały się z co najmniej sześciu, a czasem nawet dwięciu jednostek, każda o długości najmniej 80 metrów. Nazywaliśmy to coś – lotniskowcami. Niestety, potężny pchacz zostawiał za sobą nawet ponad 1,5-metrowe fale. Często lotniskowce mijały nas o kilka metrów. Poza tym jednak Ren – SPOKO!!!

Od Wesel musieliśmy się spieszyć, bo byliśmy umówieni z naszymi następcami prawie 22 km dalej. To tylko – bagatela – 3 godziny płynięcia, ale po drodze... dwie śluzy. Przeprawa przez nie opóźniła nas o 1,5 godziny. Sprawdzamy się w pływaniu po ciemku. Mamy przecież oświetlenie nocne! Udało się. Zanocowaliśmy w marinie Dorsten – Motor – Yacht – Club (10,5 euro). W kapitanacie oczywiście nikogo, a furtka zamknięta. Tymczasem przed nami zielona noc... Poszperaliśmy w naszej łódce i znalazło się coś na wieczór.

O świcie telefon od zmienników, że nadiągają. Dokonaliśmy wymiany załogi. Gdy robiłem ostatnie zdjęcie *Dominiki*, łza mi się w oku zakręciła. Popływałoby się jeszcze...

Życzyliśmy zmiennikom dopłynięcia do celu – Berlina – o czasie. To w końcu prawdziwe wilki morskie: kapitan żeglugi wielkiej, kapitan jachtowy i dwóch sopockich morsów, panowie 60 plus! Wszyscy z Wybrzeża: Andrzej Dembiński, Zbigniew Frydrych, Andrzej Rzyski i Jan Śliwień.

Nawet się dobrze nie rozpakowali, jak już odeszli od pomostu. Widać było, że „zdobędą” Berlin o czasie, czyli 15 listopada. Trzy dni później hausbocik „Vistula Cruises 30” miał przecież „wystąpić” na berlińskich targach „Boot und Fun 2011”.

Na Berlin!

Zrobiło się zimno, w nocy nawet ok. 4 stopnie na minusie. Już po sezonie i o mariny, gdzie można się podłączyć do prądu (co oznacza ciepło) oraz wody, coraz trudniej. Ogrzewanie na łódce wprawdzie jest, ale pożera sporo gazu.



Ptactwo na Mozie.



Statek pasażerski z Bazylei.

Inna sprawa, że pełna, rezerwowa butla z gazem, którą nabyliśmy jeszcze z Łukaszem w Belgii, okazała się mieć inny gwint. I jak tu się podłączyć? Polak jednak potrafi. Niemniej chłopaki woleli gaz oszczędzać, toteż trochę marzli, co powodowało, że już o świcie wyruszali w dalszą drogę. Bardzo im współczułem z powodu mrozu. Kiedy przyszedł kryzys „wypalili” butlę w 2,5 dnia i szczęśliwie nie zamrzli!

Cały czas ich śledziłem za pośrednictwem satelity. Trzy razy rozmawialiśmy przez telefon. Na bieżąco relacjonowałem w internecie ostatni etap ekspedycji. A oni strasznie szybko zasuwali.

Ostatniego dnia, 15 listopada, prawie przyrosłem do komputera, obserwując jak nasi dzielni marynarze szybko posuwają się w kierunku Berlina. Kiedy osiągnęli docelową marinę, zadzwoniłem z gratulacjami i spełniliśmy toast zwycięstwa – oni niemieckim, a ja polskim piwem.

Tak to było i mam nadzieję, że na tym nie poprzestaniemy!

Tekst i zdjęcia:
Stefan Zubczewski

